

Janusz Ekes: To braterstwo jest warunkiem rozwoju Polski

Jeśli mielibyśmy szukać twarzy dla polskiego modelu rozwojowego, to przykład Zygmunta III Wazy z pewnością się do tego nadaje. Dodajmy, że w pewnym momencie Habsburgowie traktowali go jak starostę rodu. To do takich postaci jak on, czy Jan III Sobieski, powinniśmy udawać się, szukając naszej tożsamości i właściwego modelu bytowania – mówił Janusz Ekes w wywiadzie dla Teologii Politycznej Co Tydzień Nr 23 pt. Modernizacja. Polski projekt.

Krzysztof Wojciechowski (Teologia Polityczna): Panie Profesorze, w ostatnich latach można zaobserwować ogromny wzrost – szczególnie wśród ludzi młodych – zainteresowania historią, zwłaszcza historią najnowszą. Niestety nie widać takiego zapału w odniesieniu do historii staropolskiej. Jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy? Czy to propaganda lat komunizmu, czy starsza, sięgająca jeszcze zaborów?

Janusz Ekes, historyk i politolog: To zaczęło się jeszcze przed zaborami. Polityka historyczna istnieje od dawna. Każda nowa władza pisze historię, która uzasadnia jej dominację. Moment, w którym ta nowa władza została w Polsce zaaplikowana to czas elekcji po śmierci Jana III Sobieskiego. Chodzi o całą epokę zainaugurowaną zajęciem Tronu polskiego przez dynastię saską, pod berłem której uformował się nowy układ wewnętrzny, jaki z poprzednim, utrzymującym się przez dwa wieki, XVI i XVII, miał niewiele wspólnego, zwłaszcza w sferze teorii i praktyki politycznej. To on, dla własnych potrzeb

rozstroił system ustrojowy; zniesławił jego wielką historię wcześniejszą, by za występki własne obciążyć odpowiedzialnością pokolenia ojców, dziadów i pradziadów; niedołęstwo zaś jego czynów i myśli mogło tym samym utrwalac się w stereotypowym obrazie tradycji i odbijać w późniejszych zachowaniach. Nie tylko zresztą do kresu istnienia Pierwszej Rzeczypospolitej.

Ja do tego doszło, że Sasi znaleźli się na naszym tronie?

Odpowiedź na to pytanie wymagałaby osobnego wykładu i polemiki z szeregiem poglądów, jakie dziś determinują stan badań. Myślę, że założeniom naszej rozmowy bardziej odpowiada zbliżenie się do fenomenu, jakim ów nowy układ charakteryzował już w pierwszym pokoleniu saskim, a jakim była walka dwóch stronnictw politycznych, funkcjonujących przez cały XVIII wiek. Z jednej strony – *Republikanci*, a z drugiej – *Familia*. Programowy tradycjonalizm pierwszych zderzał się tu z nie mniej programowym modernizmem drugich. Rzecz przecież w tym, że to wcale nie ostrość programowych różnic uniemożliwiła niezbędną reformę przez trzy ćwierci wieku. Programowe idee, merytorycznie mało odległe, stanowiły bowiem jedynie rozpoznawcze hasła dwu klienteli, z których obie, gdy tylko dochodziły do władzy i mogły je realizować, napotykały dywersję drugiej. Co gorzej, oba stronnictwa szukały pomocy za granicą, zaś niekiedy brak rozeznania w grze europejskiej, niekiedy premedytacja czyniły z Rzeczypospolitej główną ofiarę obrotu koniunktury na Kontynencie, co doprowadziło w efekcie do klęski państwa polskiego.

Na czym konkretnie polega wina *Familii*?

W polityce wewnętrznej, przede wszystkim na – wspólnie zresztą z *Republikantami* – uniemożliwianiu reformy w dobie saskiej, kiedy to jej przeprowadzenie było mimo wszystko mniej narażone na odwet ze strony sąsiadów. Dlatego Sejm 4-letni i Konstytucja 3 Maja, ów „sukces” w pewnej mierze też i środowiska *Familii*, i związanego z nią niesławnej pamięci Stanisława Augusta Poniatowskiego, tylko w niewielkiej tylko mierze wpisują się w lepsze strony polskiego dziedzictwa.

Święto Konstytucji 3 Maja jest jednym z najważniejszych dla niemal każdego Polaka. Chlubimy się tą konstytucją. A pan ją krytykuje?

Za co kochamy konstytucję 3 Maja? Za to że była pierwsza w Europie? To pogląd nie tyle mylny, ile mylący. Bo jeśli za konstytucję uznajemy realia opisywane terminem „ustawa zasadnicza” to takich ustaw zasadniczych było w Polsce kilka jeszcze przed 3 maja 1791. Poczynając od „*Neminem captivabimus nisi iure dictum*” (*Nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego – red.*), czyli zasady gwarantującej nietykalność osobistą obywatelowi, ustanowionej przez Jagiełłę w latach 30. XV wieku. Było to ustawa nie mniej zasadnicza jak *Nihil Novi* z 1505 roku, *Konfederacja Warszawska* i *Artykuły Henrykowskie* z 1573, czy ustawa o procedurze *impeachmentu* monarchy z 1609 roku, oraz korpus norm regulujących strukturę i procedury urzędów sądowniczych i wykonawczych. Dlatego jeszcze raz zadajmy sobie pytanie: za co kochamy Konstytucję 3 Maja? Za to, że pod pretekstem woli zapobieżenia korupcji sejmików przez oligarchię, odebrała gołocie prawo w nich udziału. To jednak dość wątpliwy sukces, jeśli uświadomimy sobie, że w XIX wieku to właśnie gołota szła hurmem do powstań.

Ale to nie koniec stereotypowego myślenia na temat Konstytucji 3 Maja. Zadajmy więc sobie pytanie: za co nie lubimy ustawy trzeciomajowej? Mówi się, że ograniczyła reformę włościaństwa do dania mu ochrony prawnej przez państwo, a nie zlikwidowała pańszczyzny. Wynika stąd idiotyczna supozycja, że przedtem nie był, a przecież był, choć oczywiście jak każda ochrona prawna i ta miała swoje braki. Rzecz w tym, że odpowiedni ustęp konstytucji wcale nie mówi, że Państwo bierze chłopą pod opiekę prawną. Mówi natomiast, że bierze ono pod nią umowy, jakie chłopci zawierają z dziedzicem, a jakich przedmiotem są umowy dotyczące właśnie wyjścia z pańszczyzny. Konstytucja staje nie w obronie chłopów, tylko korzystnego dla nich prawa, chroniącego ich przed samowolą ze strony następców ich kontrahentów. Nadto potwierdza fakt udowodniony źródłowo, że takie przechodzenie z pańszczyzny na czynsz na podstawie umów dokonywało się już na początku XVIII wieku, a to stąd, że pańszczyzna przestała być po prostu opłacalna zarówno dla chłopów jak i dziedziców. Podważa przeczerzony mit obrazujący stosunki pańszczyźniane w XVI i XVII wieku

Fakt, że Konstytucja formalnie nie stawiała po stronie konkretnej warstwy społecznej, tylko samego prawa to jej niewątpliwy atut...

Tak, ale to był jedynie dobry nawyk, jaki pozostawiła po sobie epoka poprzednia. Tymczasem czcimy Konstytucję 3 Maja głównie za to, że wzmocniła władzę wykonawczą. A przecież to nie słabość władzy wykonawczej, lecz słabość kontrolnej i ustawodawczej władzy Sejmu ograniczała możliwość i reformy realnej, i uwolnienia życia publicznego spod władzy ówczesnego układu.

Wspomniał pan, że każda władza pisze na nowo historię. Kto ją wówczas pisał i czyj opis dotarł do czasów współczesnych?

Warto tu przywołać postać Stanisława Konarskiego, który w 1771 r., czyli na rok przed I rozbiorem Polski, został wyróżniony przez Stanisława Augusta medalem *Sapere auso* (czyli: *Temu, który odważył się być mądrym*). Za co? To on jest bowiem prekursorem historiografii i politologii obciążającej wieki XVI i XVII – czyli wieki chwały Pierwszej Rzeczypospolitej – odpowiedzialnością za wybryki elit XVIII-wiecznych. Konarski zamazywał realny obraz tych dwóch stuleci. I niestety muszę z przykrością powiedzieć, że obraz nakreślony przez Konarskiego cieszy się wzięciem do dziś dnia.

Czy pan profesor nie przesadza z niechęcią do tego wybitnego człowieka?

To Konarski jako pierwszy zinterpretował konstytucję Nihil Novi (1505 r.), jako dopuszczającą *liberum veto*. Tymczasem ona je wykluczała – odwrotnie niż do dziś głosi to stereotyp. Mowa w niej o tym, że Król nie będzie stanowił nowych praw bez wspólnej zgody jego Rad, (czyli Senatu) i Posłów Ziemskich. Konstytucja Nihil Novi narzuca rządzącym przymus deliberacji i zgody. Co jasne, posłami byli wówczas szlachcice. Posłowie ci wieźli ze sobą na Sejm instrukcje poselskie, otrzymane od sejmików ziemskich. Opinie zawarte w nich dotyczyły przede wszystkim spraw publicznych. Były to tzw. *publica* – gdzie omawiane było to, co dotycząc Rzeczypospolitej dotyczyło obowiązków króla, ministrów i administracji wojny, a co wiązało się z uchwałą podatków. Do spraw publicznych w instrukcjach poselskich dołączane były tzw. *privata*, czyli sprawy partykularne – osób fizycznych i prawnych. Poczesne miejsce zajmowały w *privatach* takie sprawy, jak sprawa grobli, choć postawionej przez mieszczan, ale służącej wszystkim stanom, co

sprawia, że sejmik prosi Sejm o zwolnienie ich z podatku, uzasadniając to opinią, że stanowią miasta część Rzeczypospolitej. Jest to zaś przykład opinii, w świetle których – przynajmniej to – dość blado prezentuje się stereotyp zawarty w takich terminach jak *Rzeczpospolita szlachecka*, czy *anty-miejska postawa szlachty*. Taki właśnie obraz aspołecznego warcholstwa i egoizmu szlachty, utrwalony późniejszymi czasy, sam Konarski niejako antycypował swym obrazem jej warcholstwa politycznego – obrazem przerysowanym jeszcze bardziej przez Naruszewicza i Niemcewicza. U autorów tych główne postacie politycznie negatywne, to Zborowscy, jako warchoły i przeciwnicy króla Stefana, głównym zaś charakterem czarnym jest król Zygmunt III Waza. Stereotyp ten, wbrew badaniom, które go zdezwuowały obowiązuje do dziś.

Dlaczego Zygmunt III Waza staje się postacią, która ogniskuje wszystko co złe?

Był to król, któremu przypisywano ciągoty absolutystyczne, ultra katolicyzm i którego pomawiano o uległość jezuitom. Według tego stereotypu miał on przeciw sobie światlejszą część społeczeństwa. Tymczasem dość powiedzieć, że siostra króla, luteranka, miała na zamku w Warszawie własną kaplicę luterzańską, że jego synów wychowywali nauczyciele i katolicycy i protestanci, że przez pierwszych 13 lat panowania na stanowiska senatorskie powoływał głównie protestantów. Mianował ich później mniej dlatego, że wraz odpływem mody na protestów ubywało i ich. Był katolikiem głębokiej wiary i tolerancyjnym królem, uczciwie przestrzegającym ustaw Rzeczypospolitej. A zarazem odważnym mężczyzną i politykiem, pod którego czterdziestopięcioletnimi rządami Polska bytowała w apogeum.

Skąd więc pewien dystans jaki odczuwamy wobec tego króla?

Bo w tym apogeum udało mu się Rzeczpospolitą utrzymać, a nawet umocnić, i to wbrew dywersji ze strony zewnętrznej, przy budżecie cedzonym przez Sejm, i także dywersji wewnętrznej, a strzegły go ledwie trzy dziesiątki gwardzistów. Jeśli mielibyśmy szukać twarzy dla polskiego modelu rozwojowego, to przykład Zygmunta III Wazy z pewnością do tego się nadaje. Dodajmy, że w pewnym momencie Habsburgowie traktowali go jak starostę rodu. To do takich postaci jak on, czy Jan III Sobieski, powinniśmy udawać się, szukając naszej tożsamości i właściwego modelu bytowania.

Jednak ten nasz model rozwoju stał się niewydolny, a sama Polska przedrozbiorowa była postrzegana przez wielu jako nienowoczesna.

Dobrze, że mówi pan o modelu rozwoju, a nie ustroju. Ten drugi można skopiować z dobrego wzoru. Gdy mówimy o modelu rozwoju, to mówimy o modelu postępowania, jakie trzeba ćwiczyć. A więc o pewnym wyćwiczonym sposobie bycia i działań, czego dopiero skutkiem staje się pewien model, na przykład ustroju. Badając z Janem Dziegielewskim realia republikańskiej *monarchii mieszanej*, czyli faktyczny ustrój staropolskiego państwa, często odnosiliśmy wrażenie, że stereotypom, które miałyby ujmować specyfikę procesu modelującego ów ustrój, umyka coś, co stanowi bardzo doniosły czynnik formacyjny, a czemu zwykle nie poświęca się wystarczająco wiele uwagi.

Czyli czemu?

Czemuś co nazwałbym zasadą braterstwa. Nie jest wcale odosobniony głos Hieronima Ossolińskiego, który na Sejmie Unii Lubelskiej 1569 r. zauważał, że Unii nie tworzy się ani „*papierem, ani woskiem, jeno sercem braterskim*”. W tym samym duchu napisany był testament króla Zygmunta Augusta. Oto cytat: „*przez miłość ku Rzeczypospolitej prosimy i napominamy, i zaklinamy, aby będąc obywatelami tak Korony Polskiej jak Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli jednym nierozdzielny ludem, jedną, a nie różną Rzeczypospolitą, miłując się braterską miłością szczerze, prawdziwie, jako jednego ciała członki, jednej, nierozdzielnej Rzeczypospolitej*”. Idźmy dalej. Czy utrzymałby się we własnych ryzach państwowych etnos przecież niełatwy, gdyby powstające państwo Mieszka i Chrobrego, w które Sasi znan Łaby i Normanowie znan Dniepru uderzali synchronicznie, w istocie rządzone było w myśl zasad autorytaryzmu przypisywanego obu wielkim Piastom? Za odpowiedzią, że nie przemoc z ich strony o tym zdecydowała, lecz emocje o naturze miłości, przemawia nie tylko los, jaki dwa pokolenia później spotkał króla Bolesława Śmiałego po mordzie dokonany na biskupie Stanisławie. Także nie tylko potencjał emocji, który – mniej więcej sto lat po *Testamencie Krzywoustego* z 1138 roku – uruchomił wenę twórczą Wincentego z Kielczy, by wyrazem bez wątpienia miłości we wspniałym hymnie *Ciesz się, matko Polsko*.

Nigdy do tej pory nie łączyłem Bolesława Chrobrego z miłością. I chyba nie jestem odosobniony...

Dobrze pana rozumiem. Mnie do tego natchnął dopiero Gall Anonim. Jest w jego *Kronice* zapis o żałobie Kraju po śmierci Chrobrego. Nie jest to kurtuazyjny ukłon dworskiego poety i kronikarza pod adresem Domu Panującego. Głównym bohaterem kronikarza był nie Chrobry, a jego praprawnuk. Nie musiał go chwalić, a skoro go chwalił, to raczej wykluczone,

by chwalił bez sugestii ze strony pamięci faktów, jaką pozostawiły po sobie jego rządy. Współczesne Chrobremu oskarżenia o tyranie, to fakty niejako prasowe, i tylko niemieckie (Thietmar). Odnotowane zaś przez Galla przyczyny uznania dla króla, tkwią chyba bardziej w stylu jego polityki wewnętrznej, niż w jego triumfach nad najeźdźcami z zachodu i wschodu, godzącymi w jego królestwo.

A skąd brała się emocja, o której pan wspominał?

Zrazu zapewne z samej satysfakcji z udziału w sprawie nie tylko zwycięskiej, ale i wspólnej. Satysfakcji na tyle silnej, by dodawała ducha także w chwili porażki, co łatwo wyczuć w okrągłym zdaniu, jakim Wincenty Kadłubek wyjaśniał przebieg i wynik jednej z dwunastowiecznych bitew – „*zmęczeni zwyciężaniem, Polacy ulegli*”. Duch politycznej wspólnoty w jego *Kronice* odbija się chyba mocniej, niż we współczesnej mu literaturze obcej, co rzecz prosta łączy się z jego odczytaniem w klasykach Antyku, ale też wskazuje na konkretną inspirację kulturową, jakiej poddawała się polska elita średniowieczna, a tym samym na charakter upowszechnianych przez nią wzorów zachowań. Także już wtedy zresztą nie tylko przez ambonę docierał wpływ Arystotelesowskiej wizji człowieka szczęśliwego stąd, że ma dobre państwo, do życia w którym „jest stworzony bardziej niż mrówka i bardziej niż pszczoła”, a z którego to życia radości mogą być poważne, jeśli tylko ono same jest traktowane poważnie. W wieku XVI i XVII, arystotelizm wpływał w Polsce na teorię i na praktykę, nie tylko polityczną, decydująco.

W jaki sposób?

Kluczowy był tu *mos maiorum* – obyczaj przodków. I to przodków rozumianych bardzo szeroko – nie tylko tych znad rzek polskich, ale również tych znad Tybru. Można by rzec, że gdy w Średniowieczu Chrześcijaństwo zaszczerpiło kulturę polską na rzymskim korzeniu, to jej pokolenia nowożytnie czuły się już uprawnionymi latoroślami. Wzorce zachowań przekazywane były z pokolenia na pokolenie, stapiając tradycję domową ze starożytnymi przykładami męstwa. Jak choćby w herbowej legendzie Awdańców, której bohater Skarbimir, wysłany przez Bolesława Krzywoustego do cesarza Henryka V przed bitwą na Psim Polu, dał cesarzowi godną odprawę, gdy ten chciał mu zaimponować widokiem swego otwartego skarbcza. Wrzucił doń bowiem pierścień własny mówiąc „*idź złoto do złota, my Polacy w żelazie się lubujemy i żelazem bronić się będziemy*”. Zawołanie rodowe – *habdank* (dziękuję) – upamiętniło odpowiedź cesarza. *Mos maiorum* był przedmiotem kultu u kolejnych pokoleń. Syn Hieronima Ossolińskiego, wojewoda Zbigniew, by nie dopuścić do rozlewu krwi braterskiej podczas rokoszu Zebrzydowskiego stanął pieszo na drodze dwóm zbliżającym się ku sobie konnicom – królewskiej i rokoszańskiej. Kanclerz Jerzy Ossoliński – syn Zbigniewa – sfinansował swoje poselstwo do Stolicy Piotrowej, którego wjazd do Rzymu zaimponował Europie nie tylko dlatego, że koń kanclerza przy Porta del Popolo gubił złote podkowy, umocowane specjalnie słabo.

Idąc tym tropem spotykamy ozdobione rzymskimi sentencjami epitafia bohaterów poległych na polu chwały i dochodzimy do istoty rzeczy. Dostrzegamy, że z kultem republikańskiego *mos maiorum* zdawała się łączyć znaczna dbałość o odczytanie nie tylko jego przesłania. Podobnie uważnie teksty Arystotelesa czytał Orzechowski). Oto postawa, korygująca ideę modernizacji. W szeroko pojętej kulturze staropolskiej widać wolę zachowania tego, co nam przekazała nasza ludzka natura, oraz przeczucie potrzeby rozwoju kultury, naturze tej życzliwej. Inaczej mówiąc, mamy tu do czynienia z uznaniem, że po to, by iść naprzód, trzeba wracać do źródeł.

W tym tkwi oryginalność polskiego modelu rozwoju?

Rozwoju nie tylko polskiego, ale i europejskiego. Nam udawało się to realizować, aż do smutnych czasów przełomu saskiego, o którym mówiliśmy na początku. Zgubiła Rzeczpospolitą chwila nieuwagi u kresu XVII wieku i osłabienie moralnej kondycji elity – w tym znacznej zdolności do krytycznego spojrzenia w lustro – w o wiele większym stopniu, niż przypadki prywatnej i publicznej anarchii na miarę sasko-stanisławowską, zdarzające się rzecz prosta i w obu wiekach poprzednich. Jeszcze inaczej mówiąc, zgubił Pierwszą Rzeczpospolitą odpływ odwagi – niezbędnej tak do patrzenia w lustro, jak do twórczego podejmowania wyzwań czasu.

To potwierdza tezę, że sami zgotowaliśmy sobie upadek.

To nie ma wątpliwości. Jednak zgotowaliśmy go nie niechęcią do naśladowania wzorów obcych, bo takowej nie było. Ale tym, że nie zdobyliśmy się na dostateczną odwagę i powagę, jakiej – tak jak w każdej sferze życia – trzeba w sferze życia publicznego.

Ma pan na myśli etos jaki powinien obowiązywać Polaków tworzących wspólnotę polityczną?

Oczywiście. Dzięki owej, powiedzmy tak, refleksyjnej specyfice swojego modelu rozwoju, przez dwa pierwsze wieki nowożytne Polska utrzymywała się w europejskiej czołówce. W aktualnym położeniu Polski i Europy ta

refleksyjna specyfika aż prosi się, by do niej nawiązać. Nawiązanie do niej może Polakom przywrócić wiarę w Polskę tak samo, jak Francuzom we Francję, czy Niemcom w Niemcy.

Panie profesorze, wydaje się, że wcześniej trzeba to zrobić z samymi Polakami. Jak dzisiaj przywrócić tradycje I RP współczesnej Polsce?

Uważam, że można by połączyć jedno z drugim. Poprzez upowszechnienie bliższego realiom obrazu owej coraz bardziej rugowanej z pamięci historii X-XVIII. Byłby to obraz filmowy, analogiczny do ratującego ostatnio tę pamięć filmu angielskiego, bardziej może dokumentalny, acz przesuający się przez omawiane wieki sekwencjami epizodów z życia przedstawicieli pokoleń spokrewnionych rodzin historycznych i uczestniczących w życiu państwa. Stąd też bywały za granicą i pokazujących ją widzowi. Podobnym filmem, zrealizowanym na mniejszą skalę w początku lat 80 ubiegłego wieku była „*Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy*”. Zrealizowany na najwyższym poziomie artystycznym i wiarygodnie manifestujący walory dokumentalne, oglądany w Kraju i zagranicą, mógłby stać się wydarzeniem z pewnością wielostronnie twórczym.

Serial jest pomysłem z pogranicza historii i popkultury. A jak przywracanie dumy i świadomości piękna okresu staropolskiego mogłoby wyglądać w świecie akademickim?

Wydaje mi się, że jeśli chodzi o mediewistów i nowożytników, to mobilizować w zasadzie ich nie trzeba, skoro prace ich dowodzą sporej mobilizacji w tej kwestii. Na pewno trzeba im ułatwiać publikację ich osiągnięć i dofinansować logistykę badań. Natomiast bez wątpienia daje się zauważyć problem szerszy,

który nie mniej pewnie angażuje również historyków. Ten widoczny nie tylko w Kraju problem ośmielam się definiować, jako problem inflacji walorów ogółu nauk społecznych, a zwłaszcza humanistyki. Problem na tyle poważny, że domaga się poważnej refleksji po stronie władzy politycznej.

Rozmawiał Krzysztof Wojciechowski